

i czas był ku temu. Salwa gruchła, Kuba na trąbie marsza żałobnego Chopina zagrał... i parada skończona. Tylko gdy się kogo polubiło, tęsknota było za nim. Ot, wspominali, wczoraj na kwaterze z nami był, jeszcze mi papierosa dał, jeszcze list do rodziny pisał, a dziś już tam leży, robactwo go toczy. O takim wiedzano, że zabity, ale dużo nieraz brakło żołnierza, nie wiedzieć, czy padli, czy do niewoli się dostali, czy ranni są. Czasami powracali zaginiony, dziwne opowiadając przygody. Jedni podczas ataku z osłabienia padli omdleni, poczem znaleźli ich sanitaci i do przytomności powrócili, drudzy, odłączonywszy się od oddziału, błądzili, póki na właściwy ślad nie natrafili.

Z końcem października ubiegłego roku przyszło do wielkiej bitwy pod Mołotkowem i Hnizdem. — Lewe skrzydło zajął pułk drugi, na prawem zaś stanął pułk trzeci, dochodząc do drogi, wiodącej z Bohorodczan do Nadwórny. Długość całego frontu mogła być mniej więcej 20 do 23 kilometrów. — Moskale poczęły ściągać znaczne rezerwy, które nie ustannie czynić poczęły wysiłki o zdobycie naszej pozycji. Artyleria rosyjska usadowiła się na górze Werpil i nieustannym ogniem poczęła nas prażyć. To też Legiony cofnąć się musiały, ustąpić wobec ogromnych sił moskiewskich.

Ciemną noc rozdarły płomienie palących się zakładów naftowych w Mołotkowie, które, paląc się, oświeciły okolicę. W milczeniu, w nerwowym napięciu maszerowały kompanie za kompaniami. — Tren, zbliżając się do rzeki Bystrzycy, o mało że nie wpadł w ręce Moskali, którzy usadowiwszy się na moście drewnianym, usiłowali przy pomocy tamtejszej ludności poprzecinać drewniane filary mostu i tym sposobem dobrać się do trenu.

Docierał właśnie tren do mostu. Z daleka słychać było stuk siekier, które z wysiłkiem pracowały. Kuba, siedząc na wozie, gdyż skaleczoną miał nogę, pierwszy zwrócił uwagę komendantowi trenu na ten podejrzany stuk. Ale uprzedziła już ich patrol z kompanii śląskiej, która dotarłszy do mostu, dała kilkakrotnie salwę karabinową w stronę podejrzanego łoskotu, a następnie szybko przebiegła przez most, aby zbadać, ewentualnie przeszkodzić podminowaniu mostu.

Na odgłos salwy zeskoczył Kuba z wozu, odrzucił wstrzymującego go kucharza i kulejąc podążył w stronę mostu. Od tej chwili słuch zaginął po Kubie. Zrozpaczony kucharz nagrodę obiecał za znalezienie żywego lub umarłego, lub też jakichkolwiek śladów. Ale Kuba „wsiąkł” na dobre.

Smutno się zrobiło w kompanii, najbardziej jednak rozpacział kucharz, który obiecał usmażyć trzy ozory wołowe temu, kto mu o Kubie cośkolwiek doniesie. Już i pomocnika nowego przyjął do kuchni, ustawicznie mu grymasząc i twierdząc przytem, że takiego genialnego pomocnika, jak Kuba, nigdy mieć nie będzie.

— Zginął nasz gramofon Kuba — smutnie mówili — teraz ci mu psy marsza grają i kruki dzióbają.

Dzień, dwa, trzy wspominali, wreszcie i Kuba zeszedł z repertuaru kompanii. Orzekli jednogłośnie, że Kuba koziołka machnął na tamten świat, lub też zablakany dostał się do niewoli. Jednakże kucharz ustawicznie twierdził, że on żyje, jest, tylko „zapodział” się gdzieś, ale w końcu do kompanii wróci i koncerty po dawnemu dawać będzie. Twierdził to stanowczym głosem, choć nieraz udowadniali, że już po Kubie.

* * *

Po zajęciu Zielonej cofnął się III. pułk na wypoczynek do Rafajłowej. Ciężka wówczas służba przypadała II. pułkowi, który okopał się pod Zieloną i stamtąd odpierał ataki Moskali.

Żołnierz, postawiony na placówce, nieraz przez dziesięć godzin służbę pełnić musiał, wśród zimna przenikliwego. Jednak pomimo tego, służbę pełnił wzorowo, bacznie czuwając, czy niespodzianki jakie nie gotują Moskale.

Sekcyjny Zjadacz rozprowadzał właśnie placówkę, gdy nagle jeden z żołnierzy zwrócił mu uwagę na drogę, wiodącą z Pasiecznej do Zielonej. Drogą szła jakaś otulona kobieta, machając z daleka olbrzymim kawałem białego płótna, który, jak sztandar wiatrem

kołysany wyglądał. Już ci ją na cel wziął obywatel Sikora, stalowym głosem krzycząc:

— Stój, kto idzie?

Dosłyszała to idąca kobieta i stanawszy, poczęła jeszcze bardziej machać białą chustką, krzycząc:

— Ta, Sikora! Ta do cholery nie strzelaj! Ta ja jestem, ja!

— Kto? — spytał tenże ostro.

— Ta ja! Kuba!

Rzeczywiście był to Kuba. Tylko miast munduru strzeleckiego, suknie kobiece miał na sobie, a miast karabina kobrałkę z węglami i... trąbkę tekturową, którą miętosił pod pachą. Twarz miał starannie uszminowaną, tak, że przygoliwszy się nieco, przedstawiał całkiem idealny obraz starej babki. Z tryumfem poprowadzono go do kwatery. Śmiechu było nie mało, kiedy poznano w starej babce Gramofona-Kubę. Doleciał doń kucharz, rzucając chochlą o ziemię, na szyję przyjaciela się rzucił. Ale ten delikatnie go odsunął, tłumacząc:

— Ta, do cholery, daj pokój, bo se głębo po-walasz.

— Bo cożes się tak uczernił!

— Jakto poco? Ta, byłem w niewoli, i aby móż uciekać, musiałem się przebrać, a taj ucharakteryzowałem się na babkę — dodał z figlarnym uśmiechem — bom się obawiał, aby mnie kozacy nie skrzywdzili. Ta, popatrzcie na mnie. Ta, cała dziewczucha ze mnie w tem przebraniu. A jak bym był wpadł w „oko” jakiemu Moskalowi, ta by się był zabrał do mnie, i co by było? Dyndałbym jako szpieg, trzepał kopytami na suchej gałęzi. Tak musiałem grać rolę babki.

— Gdzie, jak, co? — ciekawie poczęli dopytywać.

Ale kucharz ujął Kubę pod pachę i do kuchni odprowadził. Nasycił mu żołądek, poczem Kuba przy ognisku leżąc rozpoczął opowiadanie o swym losie.

— Ta, wiecie, tak było! Tam przy tym mostku przy Bystrzycy patrol z kompanii śląskiej dała salwę do Moskali, a potem przez mostek żywo przebiegła. Ta, ja tak z ciekawości pobieglem za nimi, choć mi noga bardzo dokuczała. Nasi ubili kilku i wzięli paru chłopów, pomagających Moskalom w uszkodzeniu mostu, do niewoli, a ja zapaściłem się w wieś, sądząc, że tren będzie przejeżdżał tą drogą, to się połączę. Tymczasem — myślę sobie — wstąpię do chaty i opatrzę nogę. Do pierwszej napotkanej wstąpiłem chaty, właściwie muszę się przyznać, że raczej wśli-znąłem się, bo mnie nie chcieli do środka wpuścić. Podważyłem drzwi i zaświeciwszy świecę, zbudziłem gospodarza, aby mi dał kawał czystej szmaty. Z niechęcią wprawdzie wstał, podał żadaną szmatę, zdjąłem buty, opatrzyłem ranę. Ciepło, rozchodzące się od kominka, znużyło mnie jeszcze bardziej, tak, że sam nie wiem, kiedy zasnąłem. Spałem twardo, nadzwyczaj twardo, bo dopiero silne uderzenie kolbą w bok zdołało mnie przebudzić. Zerwałem się na pół przytomny, patrzę, ta, co jest? Kupa kozuniów w izbie, jeden z nich karabin mój ciekawie ogląda, drugi buty moje przymierza, trzeci przeszukuje mi tornister. Ta, co miałem robić. W milczeniu, wściekły na siebie, że wpadłem w taką łapkę, kulejąc musiałem z patrolą do Pasiecznej przemaszerować. Poczęli naigrawać się ze mnie początkowo, w końcu mnie to rozżłościło, i wiecie, co im zrobiłem?

— No co? Ciekawiśmy!

— Ta nic. Wyciągnąłem trąbkę tekturową, którą miałem złożoną w kieszeni i niespodziewanie zatrąbiłem na niej. Podleciał jeden z nich, wydarł mi z ust tubę, a któryś z konwojujących zauważył:

— Toż to sokołyk-grajek.

— Ta mi wszystko jedno było — ciągnął dalej Kuba — Przez całą drogę brzuchem pracowałem, rozmaite wydobywając głosy. Myślałem, że pękne ze śmiechu, kiedy mnie w Pasiecznej rewidowali, szukając „maszynki co gada”. Nie mogę narzekać, aby źle obchodzili się ze mną. Po formalnościach raportowych, odprowadzono mnie do chaty opustoszałej, która miała służyć dla mnie za tymczasową kwatere.

W izbie usadowili się Moskale, a mnie i dwóch jeszcze żołnierzy węgierskich, jako jeńców, umieścili na strychu. Nieduży to był strych, z małymi otworami, przez które można było widzieć, co się wokół chaty dzieje. Moi współkoledzy, Węgrzy, pomamrotali ze sobą po węgiersku, w końcu położyli się spać na słomie. Usiadłem w kącie, przemysłiwując, coby

tu teraz wypadało zrobić. Uciekać! Tak, ale jak? Wspominałem o kompanii, ta mówię wam do cholery, żal mi się zrobiło za wami. Myślę sobie, że ja mam gnić tutaj w niewoli, albo tam gdzieś na Sybirze, e, to wolę zaryzykować. Byłem zdecydowany uciec w ubraniu strzeleckim, to jest wyłamać w dachu chałupy dziurę i sunąć do kompanii, jak się tylko nadarzy sposobność. Macając po strychu, natrafiłem na suknie kobiece. Wpadła mi zaraz szczęśliwa myśl do głowy. Plan zaraz miałem gotowy. Ubrałem się w nie natychmiast, sadzami buzię umalowałem, a dziurę zrobić w dachu, to parę minut mnie kosztowało. Wychyliłem łeb z dachu, Moskalisko. Jak smok wielki, łązi koło chałupy i pilnuje. Zaczekałem, póki na rogu chałupy nie zniknął, a potem hyc na dół. Ta... bez szelestu... ta, ja umiem tak skakać — podskakując, aby zademonstrować opowiadanie, ciągnął dalej — idę śmiało przygarbiony, kulejąc, zobaczył mnie jednak wartujący żołnierz, zatrzymał, podejrzliwie indagować począł, skąd jestem, skąd idę i dokąd, co tu robię. Naśladując głos starej babci, rozpaczliwie poczęłem opowiadać, że to chata mojej córki, że chciałam w niej przemocować, ale jej nie zastałam, bo tam wojsko jest, że idę do domu do Zielonej.

— Ta czo, tam przepustkę trzeba — objaśnił — tam sokołyky są.

Ucieszyłem się niezmiernie, że niedługa mnie czeka droga i zem dowiedział się, gdzie się nasi znajdują. Poleciał mi udać się do komendanta o przepustkę.

— Całe szczęście — odezwał się rubasznie kucharz, klepiąc Kubę po policzkach — żeś się sadzami usmolili, Moskale stracili apetyt, inaczej byłby cię smrotny los spotkał... ha... ha... ha..., ale marsza nam zagraj powitalnego, bośmy go już długi czas nie słyszeli.

— Zaraz! Jeszcze parę słów dorzucę do poprzednich.

— Owszem, owszem — Zjadacz się odezwał — może i z nas który dostanie się do niewoli, toż te twoje cenne uwagi i rady praktyczne mogą się przydać!

Podparłszy boki rękami, kończył opowiadanie:

— Znalazłem kobrałkę, naładowałem ją węglami i sunę śmiało z Pasiecznej. Co parę kroków zatrzymuję mnie żołnierze, pytając o przepustkę. Pokazując węgle, opowiadałem, że roznoszę je po wsi, a obecnie dążę do chaty. Wykręcałem się, jak mogłem, i o mało, zem się nie wyspał. Z patrolami udawało mi się znakomicie, tylko stojący na placówce zatrzymując mnie oświadczył, że muszę mieć przepustkę od komendanta. Co miałem robić. Udałem, że wracam, a równocześnie przez cmentarzysko prześliznąłem się poza linię placówek moskiewskich. Tylem się nastarał, aby się do swoich dostać, dochodzę, a ta szelma Sikora bierze mnie na cel, wołając: kto idzie! Ta i kto! Ta ja, Kuba, ta wyście myśleli, że już ziemię gryzę, a ja zdrów i cały... he... he... he...

— Udało ci się uciec! — Zjadacz mu przerwał.

— Ta się musiało udać! Od czego głowa na karku.

Za chwilę Kuba przebrany już w mundur Legionisty, śmiejąc się, karabinem sztuki pokazywał, poczem wyprostowawszy zgniecioną tubę papierową, zagrał marsza i wygłosił na prędce utworzoną deklamację. Weselej się zrobiło w kompanii. Niedługo jednak pozostał w kompanii, gdyż w parę dni potem w ataku pod Pasieczną, ugodzony odłamkiem szrapnelowym, zemdlony padł na pobojuwisku. Znaleźli go sanitaci dychającego jeszcze. Przyniesiono go do lazaretu, opatrzone starannie ranę. Kiedy przyszedł do przytomności, przemówił do stojącego obok kucharza:

— He... ta już kitę odwalam... ta i kto będzie wam grał na trąbce?

Jednak nie odważył „kity”. Przewieziony do szpitala w Budapeszcie, wylizal się z ran i powrócił po dłuższej nieobecności do służby, lecz do pułku pierwszego, mówiąc, że mu na Węgrzech powietrze nie służy i pech go prześladowuje. Jak nie niewola, to rana — śmiejąc się mówił — a ja chcę, albo cały i zdrowy być, albo paść na miejscu.

Kuba gramofon — orkiestra pułku drugiego przyniosła się do pierwszego.